

# Phyllis Eisenstein

## Pod ziemią

**M**usieliście widzieć tego ślepego człowieka. Mijaliście go setki razy w tunelu łączącym dwie linie metra. Siedzi na składanym stołeczku, sprzedaje orzeszki i gumę do żucia, które wyciąga z jutowego worka. Na kolanach trzyma pudełko po cygarach, do którego zbiera pieniądze. Zawsze wydawało mi się, że sprzedaje więcej orzeszków niż gum, ale może dlatego, że sam nigdy nie lubiłem żucia. Donny też nie lubił.

Kiedy Donny skończył pięć lat, zacząłem z nim podróżować metrem. Sheila miała go przez cały tydzień, ale soboty należały do mnie i mogliśmy iść do muzeum albo do zoo, czy dobrego kina gdzieś w centrum. Ślepiec zawsze był na swoim miejscu, tak samo jak w dni, kiedy chodziłem do pracy. Donny zainteresował się nim od pierwszego razu i zawsze się oglądał, żeby się na niego pogapić.

Przypuszczam, że powinienem był w takim momencie szturchnąć go w plecy albo wygłosić mały wykład na temat dobrego wychowania, ale staliśmy w tłoku i to mnie krępowało. Zresztą dyscyplina - to należało do jego matki. Ja byłem tym, który nie musiał mówić "nie".

Przez kilka tygodni Donny się przyglądał, ale nie odzywał nigdy. Wreszcie jednak zdarzyło się, że mijaliśmy ślepcę w momencie, gdy jakaś kobieta kupowała od niego paczkę orzeszków. Donny widział, jak wrzuciła monetę do pudełka i wzięła małą, białą torebkę, którą rozrywając otworzyła. Tydzień później, gdy zbliżaliśmy się do tego miejsca, pociągnął mnie za rękaw.

- Tatusiu, kupisz mi orzeszki?

W ten sposób zaczął się cotygodniowy rytuał, a ślepy człowiek co sobotę otrzymywał ode mnie ćwierć dolara.

Minął prawie rok zanim Donny odezwał się do niego. Mnie nigdy coś takiego nie przyszłoby do głowy, ale jak większość dorosłych miałem sporą praktykę w trzymaniu w cuglach własnej ciekawości. Donny stał, ściskając torebkę i patrząc na ślepcę szeroko otwartymi, niebieskimi oczyma, w których nie było cienia przebiegłości i nagle się odezwał:

- Dlaczegonosisz przeciwsłoneczne okulary w pomieszczeniu?

Poczułem, że twarz zalewa mi fala gorąca. Nie wiedziałem co powiedzieć. Byłem zbyt speszony, żeby choć wymamrotać jakieś przeprosiny. Chciałem odciągnąć Donniego, udając że nic nie słyszałem, ale on puścił moją rękę i zbliżył się do ślepcy. Musiałbym się ruszyć, żeby go złapać, ale jakoś nie potrafiłem nic zrobić.

- Jestem ślepy, chłopczyku, nie widzisz mojej laski? - odpowiedział mężczyzna.

- Widzę - odparł Donny. - Czy jesteś również kaleką? Mężczyzna pokręcił przecząco głową:

- Laska jest przedłużeniem mojego ramienia. Trzymam ją przed sobą idąc, żeby nie wpaść na różne rzeczy, ponieważ nie widzę ich tak, jak ty je widzisz.

- Jeżeli nie widzisz, to skąd wiesz, że jestem małym chłopcem?

- To proste - odpowiedział ślepiec. - Nie jestem głuchy.

Wreszcie udało mi się odezwać.

- Chodźmy Donny, bo spóźnimy się do kina.

Wziął mnie za rękę, którą wyciągnąłem do niego. I już szliśmy, może tylko trochę szybciej niż zazwyczaj, a Donny wołał przez ramię:

- Do zobaczenia.

Oczywiście widzieliśmy go także w drodze powrotnej do domu. Wymienili z Donnym pozdrowienia tak, jakby się znali od wieków i w ten sposób ich przyjaźń została przypieczętowana. Orzeszki i pogawędka, każdej soboty. A gdy ślepa nie było, Donny pytał, dlaczego, jakbym mógł znać odpowiedź. Gdzie on może być, czy jest chory, może się na nas obraził albo przeniósł do innego kraju?

- Jestem pewien, że za tydzień będzie tu znowu - odpowiadałem i zazwyczaj miałem rację.

Donny uwielbiał metro. Im linia była starsza, tym bardziej ją lubił. Kiedy miał siedem lat zawsze chciał jeździć z jednego końca trasy na drugi. Proponowałem mu zoo, nowy film, muzeum ze wszystkimi elektronicznymi urządzeniami do omawiania eksponatów, uruchamianymi przez naciśnięcie guzika ale nie, wołał jeździć metrem. Siedział z nosem przyklepionym do przedniej szyby patrząc jak światła i szyny biegną w naszą stronę.

Kochał także perony. Mógł łązić po nich czytając ogłoszenia i oglądając mapy połączeń i napisy na ścianach. Ale najbardziej lubił patrzeć w dół, gdzie między szynami widać było otwory do odciągania śmieci. Niskie, o kwadratowym przekroju, otwarte z jednego końca tak, żeby pęd powietrza nadjeżdżającego pociągu wepchnął w nie wszystkie brudy.

Najpierw chciał dowiedzieć się dlaczego pociąg ich nie miażdży. Podszedł do brzegu platformy, żeby przekonać się, że mieszczą się one pod wagonami. Wtedy po raz pierwszy krzyknąłem na niego, odciągając go od krawędzi w tył. Spojrzał na mnie nie wiedząc zupełnie o co mi chodzi:

- Przecież pociąg stał!

- Widzisz ten napis? - wskazałem duże litery wymalowane na ścianie. Oczywiście, że widział:

UPRASZA SIĘ STAĆ POZA ŻÓŁTĄ LINIĄ.

Żółta linia znaczyła brzeg peronu.

- Uważałem - bąknął .

- Nie obchodzi mnie, jak bardzo byłeś ostrożny. Co by się stało, gdyby pociąg w tym momencie ruszył?

Przyjrzał się swoim stopom.

- Przepraszam.

Pociąg z rykiem przetoczył się wzdłuż tunelu; pozostawiając strumień czerwonych świateł, które zmieniły się w żółte, a potem w zielone.

- Zobacz tato - krzyknął Donny szarpiąc mój rękaw. - Ten papier, on się r u s z a .

W otworze zbiornika na śmieci szeleściły zgniecione serwetki, papierowe kubki i gazety. Gdy coś małego i szarego wyskoczyło z otworu, Donny pisnął i odskoczył, łapiąc mnie obydwoma rękami.

- Co to?

- Mysz. Spójrz, tu jest jeszcze jedna.

- Mysz! - Zrobił krok w stronę krawędzi peronu, ale trzymałem go za łokieć.

- Stąd też je widzisz - powiedziałem.

- Ale to jest mysz!

- Oglądaj je z tego miejsca.

Był zafascynowany sposobem w jaki przełaziły przez otwór, sprytnie przebiegając pod szynami i ich złączami.

- Co one robią tatusiu?

- Myślę, że szukają jedzenia. W tych papierach może się znaleźć jakiś cukierek.

Wyciągnął z kieszeni białą torebkę. Zostało w niej jeszcze parę orzeszków. Rzucił jeden na tory. Leżał taki biały, na brudnej podłodze tunelu. Kiedy żadna mysz nie zbliżyła się do niego, odwrócił do mnie zawiedzioną twarz.

- Czy one nie lubią orzeszków, tato?

- To nie są wiewiórki w parku, Donny. One boją się ludzi. Jestem pewien, że potem przyjdą i go zabiorą. Nie sądzę, żeby często im się coś takiego trafiało.

- W takim razie czym się żywią?

- Tym, czego nie chcą ludzie. Albo wyrzucają przez przypadek. Spójrz na te wszystkie śmieci. Ludzie rzucają na tory mnóstwo rzeczy, chociaż nie powinni.

- Nie chciałbym jeść śmieci - powiedział, wyjął następnego orzeszka i rzucił go na tory. Kilka minut później rzeczywiście

jakaś mysz zaczęła ostrożnie zbliżać się do niego. Ale w tym momencie tunel zaczął wibrować od nadjeżdżającego pociągu i mysz znikła.

- On jej coś zrobi! - krzyczał Donny. - On ją przejedzie! Tato? Och, tato! Biedna mysz.

- Nic się jej nie stanie - powiedziałem mocniej ujmując go za ramię, po prostu żeby być pewnym, że nie przejdzie znowu za żółtą linię. - Są tak małe, że wagony przejadą nad nimi.

Na jego twarzy widać było ogromną ulgę, gdy po odjeździe pociągu pojawiły się znowu. I wtedy jedna z nich wzięła w pyszczek orzeszek i umknęła z nim.

- Może to mama mysz - powiedział Donny - i zabierze go do domu dla swoich dzieci.

- Możliwe - powiedziałem. - A co byś powiedział na to, żebyśmy i my poszli do domu. Czy ty nie jesteś głodny?

Niechętnie kiwnął potakująco głową.

- Ale czy nie moglibyśmy zostać jeszcze chwileczkę? Spójrz, tam jest jeszcze jedna.

- Ale naprawdę chwileczkę - odpowiedziałem. Żeby być zupełnie szczerym muszę przyznać, że i mnie bawiło przyglądanie się tym stworzonkom. Myszy były w metrze od niepamiętnych czasów. Przyglądałem się im jako dziecko. Były sprytne, nie tak jak na filmach rysunkowych; ale jednak na swój sposób sprytne. Przypuszczałem, że już niedługo Donny poprosi o jedną na własność i zawczasu próbowałem ułożyć sobie dobrą odpowiedź, chociaż przypuszczałem, że prawda będzie najlepsza: jego matka nigdy by się na to nie

zgodziła. "Ty jesteś twarda, Sheilo, gdybyś mogła, nie dawałabyś mi go nawet na weekendy".

Ale nigdy nie poprosił. Może był na to za mądry, nawet mając siedem lat. Jednak myszy fascynowały go nadal. Mówił do nich tak, jak się przemawia do zwierząt w zoo czy wiewiórek w parku. Pomyślałem, że on naprawdę potrzebuje czegoś do kochania i starałem się coś wymyślić zabierając go w nowe, cudowne miejsca, na przedstawienia kukielkowe, do cyrku, wesołego miasteczka. Ale chociaż wszystko to sprawiało mu przyjemność, jednak najbardziej lubił stać na peronie metra i przyglądać się myszom.

- Chciałbym zejść tam na dół, pobawić się z nimi - powiedział.

- Bałyby się ciebie.

- Wcale n i e. Byłbym ich przyjacielem.

- Mogłyby cię pogryźć.

- Byłbym dla nich miły, tatusiu.

Mocno trzymałem jego dłoń. - Linie są pod napięciem. Gdybyś ich dotknął mogłoby cię zdrowo porazić. Pamiętasz jak się sparzyłeś patelnią? Pamiętasz jak to bolało?

- Myszy przechodzą przez tory.

- One biegają po podkładach, dlatego są bezpieczne. Szyny zrobione są z metalu i są pod napięciem. Myszy mogą się prześliznąć pod nimi, bo są małe. A ty nie.

- Uważałbym.

- A kiedy byś się próbował bawić, mógłby przejechać cię pociąg.

Pokazał jedną z nisz zostawionych w ścianie, żeby pracujący przy torach robotnicy mieli gdzie się cofnąć przed nadjeżdżającym pociągiem.

- Tam mógłbym się schować.

- To zbyt niebezpieczne - powiedziałem stanowczo.

Podniósł na mnie wzrok.

- Ja tylko mówiłem, co bym chciał, tatusiu - odezwał się cicho: - Nie bądź na mnie zły.

Musiałem go przytulić, żeby pokazać, że wcale nie jestem zły.

Nigdy nie wspominałem jego matce o tych "chętkach". Wiedziałem, że do mnie miałyby pretensje, że nie opiekuję się odpowiednio jej synem. Dla niej najlepszą metodą było dać mu parę klapsów, gdy tylko zaczął mówić o zabawie z myszami i to wybiłoby mu ten pomysł z głowy. Zawsze mówiła nie" nie podając powodu i nie dopuszczając do jakiegokolwiek dyskusji. Jemu. Mnie. Jej odpowiedzi były zawsze ostre i krótkie, a jeżeli j e j styl ci nie odpowiadał... cóż, najlepszym rozwiązaniem było odejść. Albo zostałoby się wyrzuconym. Trudno powiedzieć, czy mi się przytrafiło to pierwsze czy drugie. Jedyne co wiedziałem, to że nie byłem mężem, którego ona potrzebowała czy chciała. I nieodpowiednim ojcem dla jej syna. Prawdopodobnie przez cały tydzień tłumaczyła Donny emu, że wszystko co ja mu mówiłem w sobotę było złe. Zrobiło mi się żal chłopca. I siebie samego. Pewnego dnia zmusi go do dokonania wyboru między nią a mną i sądzę, że to ja będę tym, który przegra.



Więc nie mówiłem mu "nie", nie krzychałem na mego i nie karatem go, ponieważ chciałem, żeby nasz wspólny czas był miły, żeby zostawił mnóstwo przyjemnych wspomnień nam obu. Za to mnie nienawidziła.

Od tego dnia zaczęliśmy kupować po dwie paczuszki orzeszków. Jedną dla Donny'ego, drugą dla myszy. Donny wyjaśnił ślepcowi wszystko bardzo dokładnie, a ten uśmiechnął się i wziął od nas dwie ćwierćdolarówki. Nie powiedział, i ja zresztą też nie, że służba porządkowa metra częściej raczej myszy trucizną i nie byłaby zachwycona tym, że ktoś je karmi.

Czasami miałem lekkiego stracha stojąc obok Donny'ego rzucającego orzeszki na tory. Rozglądałem się wiedząc, że mam zakłopotany wyraz twarzy, szukając wzrokiem jakiegoś gliniarza, który podejdzie z nienacka, żeby walnąć nam wykład na temat stosowania się do przepisów. Wszędzie wokół wisały oczywiście napisy informujące, że do wyrzucania śmieci służą kosze, ale ludzie zazwyczaj je ignorowali, ciskając na tory niedopałki, resztki śniadania w zgniecionych papierach czy przeczytane gazety. Ale Donny znał te napisy i wiedział, że jeżeli zobaczy policjanta, orzeszki zostaną w kieszeni. Mając siedem lat wiedział już, że nie chodzi o to, żeby nie robić rzeczy niedozwolonych, ale by nie dać się złapać.

Nim Donny skończył osiem lat zdążył już opowiedzieć ślepcowi o tym co robi przez cały tydzień, o szkole, o kolegach i o swojej matce. Ślepiec uśmiechał się nie mówiąc wiele w zamian, zachęcał tylko Donny'ego monosylabami, żeby ten paplał dalej. Powoli pogawędki te przestały mnie peszyć, już nie przestępowałem z nogi na nogę przeszkadzając mijającym mnie w pośpiechu ludziom. Miałem wrażenie, że

znam go tak jak sprzedawcę w sklepie, w którym codziennie robiłem zakupy. A jednak, poza tym, że jest ślepy i sprzedaje w metrze orzeszki po dwadzieścia pięć centów za paczkę, nie wiedziałem o nim nic.

Ich ulubionym tematem były myszy. Donny z zapalem opowiadał co ostatnio zrobiły, jak gramoliły się przez kratkę wyciągu lub uciekały z orzeszkiem, a ślepiec potakiwał.

Gdy Donny po raz dziewiąty czy dziesiąty powiedział rozmarzonym cichym głosem: "Chciałbym się z nimi pobawić", ślepiec przechylił głowę na bok, tak jakby mógł go widzieć i zapytał :

- Naprawdę chciałbyś? - O tak! Tak!

- No cóż, w takim razie może będę ci mógł pomóc. Automatycznie pokręciłem głową, ale uprzytomniwszy sobie, do kogo się zwracam, powiedziałem:

- Proszę nic chłopcu nie obiecywać, nie sędzę, żeby jego matce się to podobało.

Gdy odwrócił głowę w moją stronę, w jego ciemnych okularach błysnęły odbite światła tunelu.

- Nie musimy nic mówić jego matce - powiedział i znowu odwrócił się do Donny'ego.

- Czy umiesz zachować sekret, synu?

- O tak - powiedział Donny.

- A twój tata?

Donny spojrzał na mnie.

- Tatusiu, umiesz?

- To zależy - odpowiedziałem - nie, jeżeli to by było dla kogoś niebezpieczne. - Pomyśl, żeby Donny miał za bardzo zbliżyć się do myszy nie podobał mi się. Myszy są brudne, roznoszą choroby, nieraz nawet wściekliznę. Ostatecznie to nie są myszy laboratoryjne.

- Myszy mają bardzo ostre zęby.

- Nie ma żadnego niebezpieczeństwa - powiedział ślepiec.

Położyłem dłoń na ramieniu Danny'ego.

- Myślę, że musimy już iść, bo spóźnimy się na mecz.

- Ale tu chodzi o sekret, tato. Na mecz możemy pójść innym razem.

Spojrzałem na ślepca.

- O czym pan mówi?

- Tutaj jest za dużo ludzi, żeby o tym rozmawiać, ale pokażę wam.

- Co chce nam pan pokazać i gdzie?

- Zobaczycie, kiedy tam dojdziemy. To nie jest daleko. Chcecie iść?

- Tatusiu, p r o s z ę .

- Gdzie to jest?

- Parę minut drogi stąd.

Spojrzałem na Donny'ego, widziałem, że aż się pali, żeby pójść ze ślepcem. Nie umiałem sobie wyobrazić, co ten chce nam pokazać. A właściwie m o g ł e m wyobrazić sobie całą masę rzeczy, których jednak zdecydowanie nie chciałbym pokazywać Donny'emu.

- A co to jest? - zapytałem. - Rodzaj prywatnej menażerii? Pomyślałem o klatkach pełnych myszy, strzępach gazet walających się dokoła, odpadkach i insektach.

- Obiecuję, że to będzie dla pana interesujące - powiedział ślepiec - i miłe.

Zmarszczyłem brwi, starając się przybrać surowy wyraz twarzy.

- A ile to kosztuje?

- Och tato, proszę.

Spojrzałem jeszcze raz na mojego syna. No cóż, nie musiałem oglądać tego meczu.

- No dobrze - zdecydowałem. - Jeżeli to nie jest daleko.

Ślepiec przewiesił sobie przez ramię jutowy worek, do którego wsunął składany stołeczek i pudełko po cygarach. Laską wskazał kierunek.

- Tędy - rażno ruszył wzdłuż tunelu, zataczając przed sobą łuki laską. Godziny największego tłoku już minęły i przechodnie robili dla nas szerokie przejście. Po jakichś dwunastu jardach skręcił w prawo i zeszliśmy po wąskich schodach o kondygnację niżej.

Zejście było strome, trzymałem Donny'ego za rękę, żeby nie spadł. Światło także nie było najlepsze, gołe żarówki

pokrywała gruba warstwa kurzu. Było tak mroczno; że sam nie wiedziałem, gdzie stawiam kroki. Schody prowadziły do innego, krótszego tunelu, na końcu którego znowu zaczynały się stopnie w dół. Ślepiec zatrzymał się przed nimi.

- Trzymajcie się blisko mnie - powiedział. - Tutaj łatwo się zgubić.

Zeszliśmy w obszar przytłumionego światła. Mogła to być sala, ale nie widziałem ani ścian, ani sufitu. Zamiast tego była postrzępiona, poskręcana masa, częściowo biała, częściowo szara, gdzieniegdzie poznaczona plamami czerwieni, żółci i błękitu. Wyglądało to na sztywną substancję, jakby połamane płyty styropianu, czy ciągnący się bezkresny zwał rzeźb. Jakby podarta i pognieciona tektura imitująca dżunglę, a wszystko to półprzezroczyste, rozproszone i oblane łagodnym światłem dobywającym się z niewidocznego źródła.

Przed nami stała otworem przestrzeń, której sufit, podłogę i ściany stanowiło to coś. Ślepiec zrobił krok i jego stopy z szelestem zapadły się po kostki. Wskazał, żeby iść za nim. Ja ugrzązłem także. Szło się, jak po hałdzie poduszek, zdradzieckiej i niszczącej zmysł równowagi. Poczułem, że się potykam, a kiedy sięgnąłem w stronę ścian, żeby się podeprzeć, ta także uciekła mi z rąk. Upadłem.

Gdy stanąłem znów na własnych nogach ślepiec zniknął.

- Myślę, że powinniśmy byli pójść na mecz: To nie wygląda wcale interesująco.

Donny popchnął jedną ze ścian, a ta szeleszcząc ugięła się pod jego palcami.

- Myślę, że jest to coś w rodzaju grotty - powiedział; widział rysunki grot. Pociągnął mnie za ramię. - Chodźmy, tatusiu, zobaczymy co tam jest dalej.

Obejrzałem się. Byliśmy tylko o parę kroków od schodów. Zastanawiałem się, co podtrzymywało cały ten materiał i czy mógł się on w każdej chwili na nas zwalić. Z drugiej jednak strony ślepiec poszedł naprzód, nie obawiając się niczego. A oczywiste było, że odwiedzał to miejsce nie po raz pierwszy. Pozwoliłem Donny'emu pociągnąć się dalej. Posuwaliśmy się wzdłuż tunelu o nieregularnym kształcie, wznoszącym się, opadającym, zmieniającym kierunek - ścieżka tortur przez zwariowany las. Czułem się tak, jakbyśmy znaleźli się w opuszczonym wesołym miasteczku. Starannie stawiałem kroki, ale i tak ślizgałem się i zataczałem, po pełnej pułapek podłodze. Za to Donny'emu poruszanie się tutaj przychodziło z łatwością, może dlatego, że jego mała waga chroniła go przed tak głębokim zapadaniem się. Doszliśmy do rozwidlenia tunelu.

- Którędy pójdziemy, tato? - zapytał Donny.

- Nie wiem. Nie widzę żadnych znaków. - Spróbowałem zawołać: - Halo!

- Hej - doszedł nas głos ślepca. - Skręćcie w prawo. Czekamy na was.

Donny pociągnął mnie za rękaw, ale ja nie ruszyłem się. My?

Nagle poczułem się niepewnie. Jeżeli nawet nic innego, to mógł nam tu grozić pożar. Gdyby nagle to wszystko zaczęło się palić, to znalezienie powrotnej drogi byłoby piekielnie trudne. I kto mógł tam na nas czekać?

Ostatecznie, wcale nie znaleźliśmy tego ślepego człowieka, nie wiedzieliśmy nawet jak mu na imię. Nic nie stało na przeszkodzie, żeby on i jego kumple ogłuszyli mnie i zostawili tu, gdzie nikt by mnie nie znalazł, poza być może myszami. A Donny? Co zrobiliby z Donnym?

- Chodźcie - zawołał ślepiec.

Donny puścił moją rękę i pobiegł w stronę głosu.

- Hej! - wrzasnąłem i ruszyłem za nim. Ale w tym zwariowanym tunelu on był szybszy. Zniknął za rógiem i słyszałem już tylko szuranie jego nóg po podłodze.

- Donny? - krzyknąłem. I wtedy skręciłem za ten sam róg i zobaczyłem go.

Stał ze ślepcem i jakąś kobietą pośród dużej, otwartej przestrzeni. Kobieta wydawała mi się ładna, nieco może starsza od Sheili i nieco pełniejsza. Ubrana była w dzinsy i bluzę. Widziałem jak wyciąga dłoń do Donny'ego, a on z uśmiechem potrząsa nią. Wtedy spojrzała na mnie.

- Witamy - odezwała się. - Tak wiele słyszeliśmy o was obu.

- Cześć - odpowiedziałem. - My za to nie wiemy o tobie nic.

- Nie, oczywiście że nie. Wilbur jest w tym bardzo dobry. - Wilbur?

Skinęła głową w stronę ślepca.

- Już od dawna jest naszym przyjacielem.

- Kim jesteś? - zapytałem. - I co to za miejsce?

- Czy nie mielibyście ochoty czegoś zjeść? Donny obejrzał się na mnie.

- Jestem głodny, tatusiu.

Gdybyśmy poszli na mecz, zdążyłby już spałaszować hot doga i lody,

- Dobrze - zgodziłem się.

Klasnęła w dłonie trzy razy i po chwili do pomieszczenia, w którym się znajdowaliśmy, weszło troje ludzi niosąc nakryte tace.

Położyli je na ziemi, przyciskając mocno, żeby pozostały poziome i stabilne. Potem wyszli.

- Jedzenie tutaj jest sztuką powiedziała kobieta siadając po turecku na podłodze. - Nie opierajcie się o tace i nawet nie przysuwajcie zbyt blisko, bo się przewrócą. - Pokazując nam jak to robić, odchyliła się do tyłu i wyciągnęła jedną rękę, żeby zdjąć przykrycie z najbliższej tacy. Leżały na niej surowe jarzyny. Wybrała marchewkę. Na pozostałych tacach był chleb, sałata, płaty kurczaka. Ostrożnie robiliśmy sobie kanapki.

- Wilbur obserwował was już od dłuższego czasu - odezwała się. - Musiał się upewnić, czy jesteście odpowiednimi ludźmi.

- Jacy muszą być ludzie, żeby być odpowiednimi? - zapytałem.

Spojrzała na Donny'ego.

- Ty jesteś.



Uśmiechnął się.

- Dziękujemy za komplement - powiedziałem. -  
Przynajmniej przypuszczam, że to miał być komplement. Ale  
o d p o w i e d n i ludzie do czego?

- Prowadzimy tu na dole bardzo przyjemne życie -  
odpowiedziała. - Dobre jedzenie, miłe towarzystwo. Będzie  
się wam to podobało.

Musiałem się uśmiechnąć.

- A ile płacą za udział w takim eksperymencie? Potrząsnęła  
głową.

- Ja nie żartuję.

- Nie rozumiem o czym mówimy.

- To nie jest praca - odpowiedziała. - To życie. Proponuję,  
żebyście się do nas przyłączyli. Jest tu dość miejsca dla was  
obu.

- Gdzie?

- Tutaj. Właśnie tutaj.

Rozejrzałem się przyglądając uważnie zwariowanej rzeźbie,  
wewnątrz której siedzieliśmy.

- Ty tutaj żyjesz?

- Tak.

- Wewnątrz tego?

- To jest bardzo duże. Jeżeli ktoś tego pragnie, może tu  
znaleźć spokój.

- Tutaj wewnątrz? Nie wierzę. Przecież jesteśmy pod ziemią. Czy to są jakieś magazyny?

- Coś w tym rodzaju.

- Czy to jest w ogóle legalne?

- Policja nie zawraca nam głowy.

- Ale czy oni wiedzą, że tu jesteście?

- Tak. Oczywiście.

W tym momencie w jednym z wejść do pomieszczenia pokazały się cztery młode twarze. Ich właściciele chowali się za ścianę. Kobieta usłyszawszy hałas odwróciła głowę i gestem zaprosiła ich do środka.

- Wejdźcie - powiedziała - nie wstydźcie się.

Ruszyli naprzód popychając się nawzajem. Było to trzech chłopców i jedna dziewczynka. Obleźli kobietę jak małe psiaki mówiąc wszyscy naraz tak szybko, że ledwo mogłem cokolwiek zrozumieć.

- Tak - odpowiedziała śmiejąc się. - Jeżeli tylko on ma ochotę.

Spojrzała na Donny'ego.

- Czy chciałbyś pobawić się z moimi dziećmi?

Donny wepchnął resztkę kanapki do ust i gwałtownie pokiwał głową. Potem spojrzał pytająco na mnie. Nie wiedziałem co powiedzieć.

- To pozwoli nam porozmawiać - powiedziała kobieta. Nie miałem ochoty go puszczać, ale on tak bardzo tego chciał, a te

dzieci miło się uśmiechały... to były czyste dzieci, starannie ubrane i nie bardziej hałaśliwe niż inne, gdy poznają nowego kolegę.

- Proszę, tato - powiedział Donny.

Kiwnąłem głową na zgodę i cała piątka wybiegła razem. Jeszcze przez pewien czas dobiegał mnie ich śmiech, a potem nic już nie słyszałem.

Odwróciłem się w stronę kobiety.

- O czym mamy rozmawiać?

- Jesteście tu mile widziani - odpowiedziała.

- Co to za miejsce. Komuna?

Kiwnęła potakująco głową.

- Nic o tobie nie wiem. Nie powiedziałaś nawet jak ci na imię.

- Clarissa.

Wskazałem ślepca.

- Czy on też tu mieszka?

- Nie - odpowiedziała. - Wilbur jest szczęśliwy na zewnątrz.

- Na zewnątrz - powtórzyłem.

- Jest naszym łącznikiem. My stąd nie wychodzimy, ale on tak.

- Nie wychodzicie na zewnątrz?

- Nigdy.

- Nigdy nie opuszczacie tego miejsca?
- Nie wychodzimy spod ziemi.
- Aż trudno w to uwierzyć. Gdzie zdobywacie jedzenie, ubranie? Skąd macie pieniądze?
- Nie używamy pieniędzy. A jedzenie nam przynoszą. Spojrzałem na nią podejrzliwie.
- Co to jest? Jakaś sekta religijna?
- Nie.
- Więc... dlaczego nie wychodzicie? Boicie się słońca, czy coś w tym rodzaju?

Uśmiechnęła się.

- Nie, nie boimy się słońca. Ale wszystko czego potrzebujemy jest tutaj. I nie mamy po co wychodzić na zewnątrz. I nie chcemy. A ty chcesz?
- Oczywiście, że tak. Tam mam swoją pracę. I swoje życie.
- Czy to jest dobra praca?
- Bardzo dobra.
- Lubisz ją?
- Wystarczająco.
- I wystarczająco lubisz życie, które tam prowadzisz?
- Nie chciałbym go zostawić dla... dla tego.

Odchyliła się do tyłu zapadając w podłogę jak w miękką kanapę.

- Ja też na początku tak myślałam. Ale po tym jak przyszłam tu parę razy, stwierdziłam, że będę szczęśliwsza opuszczając swoją pracę, ludzi i dokuczliwość życia tam na górze. Odpowiedzialność. Wymagania. Miałam męża.. ale byłam zadowolona zostawiając go. Tutaj na dole jest spokojnie. Lubię to. Rzuciła mi spojrzenie spod oka.

- Przemyśl to. Nie musisz się decydować teraz.

- I nie mam zamiaru - odpowiedziałem. - Nie chcę zostawiać wszystkiego, żeby mieszkać z wami. Niezależnie od tego, ile was tu jest.

- A jest całkiem sporo - powiedziała. - Ale miejsca mamy jeszcze więcej.

- I to jest miłe życie?

- Bardzo.

- Ale Wilbura o tym nie przekonaliście. Ślepiec uśmiechnął się.

- Ja przed niczym nie uciekam.

- Cóż, ja także nie.

Kobieta uśmiechnęła się.

- Ale nieźle jest wiedzieć, że istnieje miejsce, dokąd zawsze można pójść.

Potrząsnąłem głową.

- Przykro mi, ale życia pod ziemią nie mogę traktować jako takiej możliwości. To wariactwo. To musi być nielegalne...

- Nie dla myszy - odrzekła. Gapiłem się na nią.

- A co myszy mają z tym wspólnego?

- My jesteśmy myszy.

Roześmiałem się niepewnie.

- Myślicie o sobie jako o myszach?

Skinęła głową.

- To jest gniazdo myszy. Zrobione ze zgniecionych papierowych toreb, starych gazet i innych śmieci, wyrzucanych przez ludzi na tory.

- O czym ty mówisz?

- Jestem myszą - odpowiedziała. - Tak naprawdę, to jestem człowiekiem, ale dla ludzi jeżdżących metrem jestem myszą. Widziałeś nas na torach.

Wolno pokręciłem głową.

- Jesteś niezłym łgarzem, nie?

- Nie.

- Śmieszne, nie wyglądasz jak mysz.

- Wyglądam - powiedziała. - Kiedy chcę.

Uczucie niepewności powróciło. Już prędzej bym sobie umiał poradzić z włóczęgami niż z czymś takim. Zerknąłem na ślepcę zastanawiając się, czy i on jest równie szalony jak ta kobieta. W tym momencie bardzo chciałem być razem z Donnym i jak najszybciej odejść z nim z tego miejsca. Ale pozwoliłem im odebrać sobie Donny'ego.

- Nie bój się - powiedziała kobieta, jakby czytając mi w myślach. Chociaż to co czułem, malowało się na pewno całkiem wyraźnie na mojej twarzy.

- Nie zrobimy ci nic złego. Nie jesteśmy szaleńcami. Prawdę mówiąc możemy być najbardziej zdrowymi na umyśle ludźmi na świecie. Nie mamy żadnych bolączek.

Przeciągnęła się ospale, a potem opuściła ręce.

- Potrzebny jest jedynie odpowiedni rodzaj iluzji - powiedziała - i wszystkie zmysły można oszukać: wzrok, zapach, dotyk, wszystko. Ukradziona tabliczka czekolady może się zmienić w wystawną kolację. Myszy w ludzi. I ludzie w myszy - gdy patrzyłem, jej kształty zaczęły się zmieniać. Ramiona i nogi chudły, a tors stawał się grubszy, głowa spłaszczala się, twarz wyciągała w pyszczek. Jej ubranie zmieniało się w szare futro, a z kręgosłupa wyrósł jej długi, cienki ogon. Była myszą - myszą wielkości człowieka, całą pokrytą futrem, o bystrych oczach.

Opuściła się na cztery łapy i powoli zrobiła krok w moim kierunku. Cofnąłem się. Otworzyła pyszczek ukazując ostre siekacze, ale odezwała się ludzkim głosem.

- Nie zranię cię, nie masz się czego obawiać.

Zamknęła pyszczek chowając zęby i podeszła bardzo blisko.

Siedziałem napięty, gotowy do ucieczki i jednocześnie sparaliżowany, zafascynowany transformacją, której świadkiem byłem przed chwilą. Podeszła tak blisko, że aż musnęły mnie jej drgające wąsy. Były jak z grubego drutu.

Przyłożyła pyszczek do mojej twarzy - zimny i wilgotny, i polizała mój policzek. Położyła mi łapy na ramionach i

przyciągnęła mnie do siebie. Jej futro było gładkie i połyskliwe.

- Widzisz - szepnęła - nie ma się czego bać.

Znowu mnie przytuliła, a potem usiadła bardzo blisko mnie, zostawiając mi łapę na kolanach. Jak pies. Jak wielki collie.

- To bardzo miłe - powiedziała - być myszą.

W jakiś sposób udało mi się wydobyć głos.

- Ale nie jesteś naprawdę myszą. To znaczy jesteś za duża, żeby być myszą.

- Nie - odpowiedziała. - Jestem wielkości myszy. I ty także: Masz w tej chwili cztery cale wzrostu.

- To śmieszne. - Uśmiechnąłem się.

- Nie ma w tym nic śmiesznego.

- Zahipnotyzowałaś mnie.

- Niezupełnie.

- Tak, zrobiłaś to i mnie się to nie podoba. Chcę odejść. Gdzie jest mój syn?

- Bezpieczny - odpowiedziała.

- Chcę, żeby tu zaraz przyszedł.

- Nie będzie chciał stąd odejść. Dzieci uwielbiają życie tutaj.

- Nie obchodzi mnie, czy będzie chciał. Pójdzie ze mną do domu, nawet gdybym miał przetrząsnąć całe to miejsce, żeby



go znaleźć - zepchnąłem jej łapę z moich kolan i wstałem chwiejąc się zanim uchwyciłem równowagę.

- Dzieci uwielbiają życie tutaj - powtórzyła mysz, która była kobietą. - Szybko się adaptują.

- Chcę mojego syna.

Spojrzała na mnie, stanęła na swych tylnych nóżkach i przeszła transformację w drugą stronę. Mysz przeistoczyła się znowu w kobietę, a futro w dzinsy i bluzę. Skrzyżowała ręce na piersi.

- A więc dobrze - powiedziała. Klasnęła cztery razy w dłonie i w parę chwil później zobaczyliśmy pięcioro roześmianych dzieci, z których jedno było moje.

Donny bez tchu rzucił się w moją stronę.

- Chodź zobaczyć skarby piratów - wykrzyknął.

Wziąłem go za rękę.

- Teraz idziemy do domu, Donny.

Jego twarz wyciągnęła się, uśmiech zamarł.

- Czy musimy?

- Tak. Robi się późno.

Twarcz wykrzywiła mu się i przez chwilę wyglądał, jakby miał się rozplakać. Ale opanował się i zapytał tylko cichym głosem bez wyrazu:

- Ale wrócimy tu niedługo, prawda?

Odwrócił się w stronę czwórki dzieci i pomachał do nich ręką.

- Do zobaczenia.

Popchnąłem go w kierunku tunelu, którym tu przyszliśmy. Ślizgając się i potykając kierowaliśmy się w stronę zewnętrznego świata. Dopiero kiedy dotarliśmy do pierwszych schodów, zorientowałem się, że ślepiec idzie za nami.

- Potrzebujecie mnie - zawołał.

Gwałtownie odwróciłem się w jego stronę.

- Po co?

- Nie możecie wydostać się beze mnie. Ja mam klucze.

- Nie zauważyłem żadnych drzwi.

Uśmiechnął się.

- No dobrze, to idźcie dalej... idźcie beze mnie.

Poszliśmy więc, ale gdy doszliśmy do szczytu drugich schodów, stanęliśmy przed gładką ścianą. Gdy zastukałem w nią, odpowiedział mi głuchy odgłos muru. Ślepiec stał na dole.

- Zgoda, miałeś rację - powiedziałem. - Jak stąd wyjść?

Wydawało mi się, że wspinając się po schodach patrzy prosto na mnie.

- Oni nie chcieli was uwięzić. Ci, którzy do nich dołączają, robią to dobrowolnie.

- Więc gdzie jest wyjście? Przyłożył dłoń do ściany.

- Wy naprawdę jesteście teraz rozmiarów myszy. Dorosły człowiek nie zmieściłby się tutaj.

- Tak, tak, oczywiście.

- Niektóre z nich są naprawdę myszami. Po pewnym czasie można się nauczyć je rozróżniać.

Donny pociągnął mnie za rękaw.

- Troje z tych dzieci, to byty myszy. Pokazali mi je. Powiedzieli, że jeżeli będę chciał, też mogę być myszą.

Spojrzałem na niego.

- Ludzie to nie myszy.

- Ależ tatusiu. Jak w "Kopciuszku".

- To była tylko bajka, Donny.

- Ale ja to widziałem.

Spojrzałem na Wilbura.

- Wyprowadź nas stąd.

Zastukał w ścianę, która stała się mgłą. Widziałem przez nią ludzi idących tunelem. Im bardziej tłum gęstniał, tym mgła zdawała się rzadsza, aż wreszcie zupełnie zniknęła.

- Idźcie - powiedział ślepiec.

Ruszyliśmy przed siebie. Kiedy odwróciłem się, żeby podziękować naszemu przewodnikowi za przygodę, już go tam nie było, a w ścianie tunelu widać było tylko ciemniejsze wgłębienie, w którym nie było żadnych drzwi. Poczułem zimno biegnące mi po plecach i zacząłem iść, ciągnąc

Donny'ego za sobą. Gdy doszliśmy do końca tunelu, zerknąłem na zegar ścienny, potem nie wierząc własnym oczom na mój zegarek. Wyglądało tak jakby oba stały. Okazało się, że mamy mnóstwo czasu, żeby zdążyć na mecz. Zatrzymałem się koło kiosku z gazetami, żeby zapytać o godzinę. Sprzedawca podał tę samą, którą pokazywały zegarki.

- Tatusiu, jestem głodny - odezwał się Donny.
- Ale przecież dopiero co zjadłeś duży lunch.
- Wiem, ale jeszcze jestem głodny.

Ja także miałem ochotę coś zjeść. Bajkowe posiłki, pomyślałem, nie wystarczają w realnym świecie.

Tak więc poszliśmy na mecz, zjedliśmy hot dogi i nie rozmawialiśmy już o miejscu pod ziemią.

**N**ie wiedziałem co o tym wszystkim myśleć. Nie chciałem o tym myśleć. Wydawało mi się, że najlepiej zignorować to całe wydarzenie, potraktować jak dziwny sen. Ale Donny nie miał zamiaru na to pozwolić. Następnej soboty; kiedy jego matka przywiozła go do mnie, pierwszą rzeczą, o którą poprosił, była wizyta u myszy.

- Tych, które mieszkają w śmiesznym miejscu, całym zrobionym z papieru.

- Czy opowiadałeś o nich mamie? - zapytałem. Skrzywił się jakby ugryzł cytrynę.

- Ona nigdy by nie zrozumiała. A poza tym to jest sekret, pamiętasz? Czy ty opowiadałeś o tym komuś?

- Nikomu. Oczywiście, że to jest sekret. - Zmarszczyłem brwi. - Nie sądzę, żebyśmy powinni je dzisiaj odwiedzać. Naprawdę nie mamy czasu. Pójdziemy do zoo - mają tam dwa nowe lwiątko.

- Tatusiu, tylko na chwilę. To było takie fajne.

- Dzisiaj nie, Donny. Może w przyszłym tygodniu. Spojrzał mi w oczy.

- W przyszłym tygodniu? Przyrzekasz?

- Jest tyle innych rzeczy, które możemy robić!

- Przyrzeknij, tato. Ty dotrzymujesz obietnic.

- I właśnie dlatego ci n i e o b i e c a m, Donny. Nie wiem, kiedy znowu będziemy mogli zobaczyć te... te myszy. Jeżeli w ogóle.

- Dlaczego?

Zacząłem gorączkowo szukać najlepszej, wymówki, ale nic nie przychodziło mi do głowy i wreszcie po prostu powiedziałem prawdę.

- Ponieważ ludzie, którzy zamieniają się w myszy, przerażają mnie.

Wziął mnie za rękę i mocno ją trzymał.

- Nie powinieneś się ich obawiać, tatusiu. One nie zrobią ci nic złego.

Ukucnąłem koło niego.

- Czy jesteś tego pewien?

- Są miłe. Nie skrzywdziłyby nikogo. P r o s z ę ,  
odwiedzmy je znowu. To jest cudowne miejsce i te dzieci -  
myszy opowiadały mi, że jest tam tyle miejsc do zbadania,  
tyle rzeczy do znalezienia. Ostatnim razem odkryliśmy skarby  
piratów klejnoty, srebro, złoto. To było takie fajne!

Potrząsałem głową.

- Nie wiem, Donny. Porozmawiamy o tym innym razem,  
dobrze? Mam całą masę pomysłów...

Zwiesił głowę.

- Dobrze, tato. Jeżeli tak chcesz.

Poszliśmy do zoo. Wydawało mi się, że był zadowolony.

Następnego dnia dowiedziałem się o czymś, co Sheila  
utrzymała dotąd przede mną w tajemnicy. Zatelefonowała.  
Przenosiła się na Zachodnie Wybrzeże i zabierała Donny'ego  
ze sobą. Tam czekał na nią narzeczony, nowy ojciec dla jej  
syna, który znowu będzie miał pełną rodzinę. Sąd  
zaaprobował to. Ja mogłem go mieć przez parę tygodni w  
lecie, jeżeli zapłacę za jego bilet lotniczy.

Następnej soboty Donny był przygnębiony. Wiedział, że ja  
już wiem.

- Wszystko będzie w porządku - mówiłem, kiedy szliśmy  
trzymając się za ręce w stronę metra. Wybieraliśmy się do  
muzeum, jak wiele razy przedtem. - Będziesz lubił swój nowy  
dom. Tam jest zawsze piękna pogoda.

Spojrzał na mnie.

- To nie jest w porządku, prawda? Nie powinna mnie zabierać tak daleko?
- Stara się zrobić to, co dla ciebie najlepsze. Kocha cię.
- Ale ty kochasz mnie także.
- Wiesz, że tak.
- Przyjedziesz mnie odwiedzić?
- Jakoś to ułożymy.
- Obiecujesz?
- Obiecuję:

Zeszliśmy na dół do metra i kupiliśmy orzeszki u ślepego sprzedawcy. Donny stał przez dłuższą chwilę patrząc w milczeniu. A ślepy. Wilbur wiedział, c z u ł , że coś się zmieniło.

- Czy stało się coś złego? - zapytał. Donny wsunął orzeszki do kieszeni.
- Wyjeżdżam - odpowiedział. - Już nie będę tutaj więcej przychodził. Moja mama zabiera mnie stąd.
- Mhm - mruknął ślepiec.

W tym momencie Donny odwrócił się, wziął mnie za rękę i weszliśmy w falujący tłum. Ale on szedł szybciej niż ja, zbyt szybko, zgubił moją dłoń i zniknął pomiędzy spieszącymi się ludźmi. Zawołałem jego imię, podskoczyłem usiłując go zobaczyć w tłumie między ludźmi. Przedemną zatrzymał się wagon metra, przebiegłem przez niego na drugi peron, wołając. Nie było go tam.

Biegłem z powrotem do tunelu, szukając ślepeca. Jego też nie było. Nie było orzeszków ani pudełka po cygarach, ani stołka. Wszystko zniknęło. Znowu zacząłem biec. Co innego mogłem zrobić? Znalazłem policjanta, on zawołał paru innych, przeszukali metodycznie całą stację. Nie znaleźli go. Zasugerowali porwanie. Ogłoszono więc, że jest poszukiwany. Cóż by to robić, musiałem zadzwonić do Sheili i wysłuchać jej wrzasków, skierowanych przeciwko mnie. Zawsze wiedziała, że to się stanie, powiedziała. Zawsze. Wkrótce potem policja aresztowała mnie pod zarzutem uprowadzenia dziecka. Zaczęły się spotkania w sądzie i z prawnikami, ale nikt nie mógł mi nic dowieść. Nikt nigdy nie wystąpił o okup. Nigdy nie znaleziono ciała. Sheila wreszcie przeprowadziła się na Wybrzeże wraz ze swoim nowym mężem. On także był wściekły, ale tylko ze względu na nią. Sam miał parkę dzieci z poprzedniego małżeństwa i mógł sobie darować pasierba.

Oczywiście wiedziałem, gdzie jest Donny. Chociaż, kiedy tamtędy przechodziłem, we wgłębieniu muru widziałem tylko pustą ścianę. Wiedziałem. Ale jak miałbym to komuś powiedzieć: mój syn zamienił się w mysz? Nie.

Wreszcie wszystko się uspokoiło. Sheila wyjechała, policja przestała za mną łązić i życie wróciło do poprzedniej rutyny. Poza sobotami. Nadal codziennie przechodziłem, idąc do pracy, obok ślepego sprzedawcy orzeszków.

Był tam przez cały czas, nie opuszczał swego miejsca żadnego dnia. Czasami zatrzymywałem się, żeby kupić paczkę. Mówiłem mu -"Dzień Dobry". Poznawał mnie. Patrzył w moją stronę w specjalny sposób; tak jakby wiedział i czekał aż coś powiem, coś zrobię. Ale ja nie robiłem nic, nic w czasie, kiedy byłem obserwowany, i jeszcze przez długi czas po tym. Ale nadszedł dzień, sobota, kiedy wybierałem się



samotnie na mecz, dzień, w którym tłum nie był tak gęsty jak zazwyczaj, kiedy zatrzymałem się, żeby kupić orzeszki i odezwałem się.

- Chciałbym go zobaczyć. Ślepiec uśmiechnął się.
- On zawsze pyta o pana,
- Dzisiaj? - zapytałem.
- Teraz?
- Myślę, że to się da zrobić.

Drzwi i schody, tunel, kolejne schody były tam gdzie wtedy i nagle znaleźliśmy się w masie skrzyconego papieru, który był rajem myszy - ludzi. Poczułem się zagubiony idąc przez ten niby las. Ścieżka wydawała się nieznajoma, skręcając i zmieniając kierunek w zaskakujących momentach, jakby całe to miejsce zostało przebudowane, kiedy mnie tu nie było. Otwarta przestrzeń na końcu też wyglądała inaczej - teraz była długa i wąska. W dalszej części pomieszczenia, podłoga wznosiła się, a na podwyższeniu stały dwa leża, wyglądające na wygodne, wyściełone jakimś miękkim materiałem, o niskich oparciach i zaokrąglonych bokach. Wyglądały w tym miejscu niestosownie - meble pośród zgnieczonego papieru. Jedno z nich zajmowała młoda kobieta - śliczne stworzenie o bladej skórze i długich blond włosach. Miała na sobie lśniącą, niebieską sukienkę i masę biżuterii, złota, klejnotów - pirackich skarbów. Na drugim leżał młody mężczyzna; silny i muskularny, ubrany w strój z czerwonego aksamitu: Na głowie miał złotą koronę. Wyglądał znajomo. Patrząc na niego widziałem twarz, którą oglądałem codziennie w lustrze.

Przypomniałem sobie posiłek, który zjedliśmy tu kiedyś nie tracąc wcale czasu. **Z e w n ę t r z n e g o c z a s u .**

Wstał, zbliżyłem się. Poznał mnie od razu. - Tatusiu - odezwał się miękko.

Spróbowałem się uśmiechnąć. Mój głos drżał nieco, kiedy wreszcie odezwałem się.

- Cześć, Donny.

Wyciągnął rękę. Uścisnąłem ją. Męską dłoń, nie małą łapkę, którą znałem. Trudno było uwierzyć, że nie ma już mojego małego chłopca, a jego miejsce zajął ten mężczyzna. A potem on objął mnie i ja jego i było to dziwne, bardzo dziwne; że jego ręce sięgały wokół mnie. Wreszcie przestaliśmy się ścisnąć i przyjrzałem się koronie na jego głowie.

- Czy jesteś tutaj królem?

Uśmiechnął się szeroko, zdjął koronę i powiesił na oparciu łoża.

- To coś w rodzaju gry - powiedział. - Niektórzy młodzi ludzie tutaj bawią się w nią. W każdym razie to oczywiście iluzja. Ta korona to metalowy krążek od puszki.

Wskazał w kierunku kobiety nadal siedzącej na drugim miejscu i przyglądającej się nam wielkimi, ciemnymi oczyma.

- To jest Mila, moja przyjaciółka.

- Witaj Milu - powiedziałem.

- Ona jest prawdziwą myszą - wyjaśnił Donny - więc nie mówi. Ale jaka piękna z niej dziewczyna. Przyglądałem się jej, próbując wyobrazić sobie tę smukłą postać jako okrągłą, szarą mysz, ale nie udawało mi się to. Nie poprosiłem go też, żeby rozwiązał iluzję. Nie bytem na to przygotowany.

- Czy przyszedłeś, żeby z nami zostać? - zapytał Donny.  
Będzie ci się tu podobało. Ludzie są cudowni. Myszy też.

Popatrzyłem na niego. Wydawało mi się, że widzę w nim za razem dziecko i dorosłego, syna i kogoś obcego.

- Ile czasu minęło dla ciebie, Donny - zapytałem:

- Prawie dwadzieścia lat.

Pokręciłem głową.

- Dla mnie tylko dwa.

- Starali się mi to wyjaśnić zaraz jak tylko tu przyszedłem, ale nie rozumiałem aż do dnia, kiedy zauważyłem, że Wilbur się wcale nie starzeje. Wtedy zrozumiałem, dlaczego nie przychodzisz mnie odwiedzać.

- Staralem się ciebie chronić - powiedziałem. - Policja mnie obserwowala. Oni myśleli, że to ja... zrobiłem coś z tobą. Spuścił wzrok.

- Tak mi przykro, tato. Nigdy nie chciałem, żebyś miał przeze mnie jakieś kłopoty.

Łagodnie zapytałem:

- Dlaczego to zrobiłeś, Donny? To było okropne dla twojej matki.

- Nie powiedziałaś jej?

- Jak bym mógł?

Wzruszył ramionami.

- Nie wiem, czy potrafię wytłumaczyć, co wtedy czułem. Szarpany w dwóch kierunkach. Bezradny. Naprawdę kochałem was oboje. Wierzysz mi?

Kiwnąłem głową.

- I bałem się. Wszystko układało się nie tak. To była jedyna droga ucieczki, nie widzisz?

Patrząc na niego pomyślałem, że rozumiem. To była naprawdę nasza wina, Sheili i moja, bo żadne z nas nie chciało z niego zrezygnować.

- Opowiedz mi o tych dwudziestu latach - powiedziałem: Tak wiele mieliśmy do nadrobienia.

Spędziliśmy razem parę godzin, chociaż na moim zegarku minęło tylko kilka minut. Opowiedział mi o swoim życiu, swoich przyjaciółach, zarówno myszach, jak i ludziach. Wielu z nich dołączyło do nich później niż Donny, a niektóre kobiety miały dzieci, ale ich ludzka populacja ciągle była niewielka i byli bardzo szczęśliwi, gdy przybywał ktoś nowy. Zaakceptowali tylko kilka prawdziwych myszy, swoich ulubieńców. Jedynym niebezpieczeństwem dla wszystkich była trutka od czasu do czasu podrzucana przez pracowników służb sanitarnych, ale ich pojawianie się było tak jawne, że przynajmniej ludzie nie mieli trudności z uniknięciem groźby. Pod ziemią było mnóstwo bezpiecznego jedzenia. Wszyscy po kolei wychodzili na peron jako myszy i plądrowali. Na zewnątrz czas biegł dla nich inaczej, więc zawsze musieli się spieszyć, nie chcąc, żeby przyjaciele czekali na nich zbyt długo.

- Z brzegu gniazda - powiedział - można zobaczyć pociągi poruszające się w zwolnionym tempie. B a r d z o wolno. Ale

nie słyszy się ich. Mówili nam, że dźwięk jest zbyt niski dla naszych uszu.

- Kto wam mówił?

- Mamy tutaj paru bardzo mądrych ludzi. Dali mi całkiem niezłe wykształcenie.

Trochę zażenowany wziąłem go za ramię.

- Na zewnątrz mogłeś otrzymać lepsze. Dlaczego nie wrócisz ze mną?

Spojrzał na mnie zdumiony.

- Chcesz wracać?

- Oczywiście.

- Tato, podobałoby ci się tutaj. Dlaczego nie zostaniesz'?

Potrząsnąłem głową.

- To nie dla mnie. Tu jest zbyt... inaczej. Dziecku łatwo się dostosować, ale ja nie jestem dzieckiem.

- Przychodzą do nas przede wszystkim dorośli.

- Donny, ja wiem, co mam tam i nie chcę tego zostawić.

- Czy ożeniłeś się po raz drugi?

- Nie - uśmiechnąłem się. - Dla mnie naprawdę to nie było długo.

- Przepraszam. Myślałem o tobie jako o... starym.

- Czy wyglądam staro'?

- Nie. Wyglądasz tak, jak cię pamiętam. Właśnie tak, jak powinieneś. A kiedy przyjdiesz znów mnie odwiedzić... to ja będę stary.

- Wrócę niedługo.

- Nawet gdybyś wracał w każdą z t w o i c h sobót, będziesz widział jak ja się starzeję, a dla mnie ty zawsze zostaniesz taki sam. - Potrząsnął głową, ale z uśmiechem. - To jest trochę jak relatywistyka.

- O t y m też cię tutaj uczyli?

- Jest z nami wykładowca fizyki z uniwersytetu. Myślę, że polubiłbyś go.

- Na pewno, ale... dlaczego nie chcesz ze mną wrócić? Jego uśmiech zbladł.

- Nie. Nie mogę.

- Och, daj spokój. Tylko na trochę. Skoczylibyśmy do kina - przecież tutaj tego nie macie, prawda. Albo na mecz. Nie brakuje ci tego?

Wzruszył ramionami.

- Tutaj życie jest wystarczająco interesujące i bez tego.

- Mógłbyś mieć i jedno i drugie. Twoja matka nie może cię już teraz zabrać. Nie wiedziałaby nawet kim jesteś. Jakiś facet, z którym się nieraz mnie widuje, to nie to samo co mały chłopiec. Nigdy by się nie domyśliła.

Spojrzał mi prosto w oczy.

- Nie, tato, ja nie mogę.

- Nie możesz?

- To jest niemożliwe fizycznie.

- O co ci chodzi?

- Jem tu zbyt mało, żeby dostarczyć masy normalnemu, ludzkiemu ciału. Straciłem tę masę, żyłem dzięki niej, aż doszedłem do punktu, kiedy to co zjem wystarcza mi. I ważę teraz tylko parę uncji, jak prawdziwa mysz. Nie mogę wrócić do normalnej wielkości ludzkiego ciała. Gdybym chciał wyjść z tobą byłbym człowieczkiem o wysokości sześciu cali. Wierz mi, inni już tego próbowali. Kiedy się jest tu przez pewien czas, trzeba już pozostać.

Wstrząśnięty wyszeptałem:

- Czy powiedzieli ci o tym na samym początku?

Kiwnął głową.

- Powiedzieli mi, że jeżeli zostanę, to na zawsze. I oto jestem...

- Ale... ale co by było, gdybyś zmienił zdanie?

- Ten proces trwa parę miesięcy czasu subiektywnego. Mógłbym wrócić i żyć po prostu... chudy. Miałem wybór. Ale chciałem zostać. Kocham tych ludzi, tatusiu. Oni są dobrzy. I szczęśliwi.

Spojrzałem na niego uważnie. - A czy ty jesteś szczęśliwy?

- Tak - uśmiechnął się. - Tak.

Przedstawił mnie innym - nauczycielowi fizyki i facetowi od reklam, pośrednikowi w handlu nieruchomościami, agentowi

ubezpieczeniowemu i prawnikowi. Kobiecie, którą poznałem poprzednim razem. Miała teraz siwe włosy. Musiała się chwilę zastanowić, żeby sobie mnie przypomnieć. Urządzili dla mnie przyjęcie, wszyscy śmiali się i żartowali. Byli łatwi w kontaktach i pogodni, i nikt nie musiał wychodzić wcześniej; bo czekała na niego praca lub ważne spotkanie. Ale wreszcie zacząłem ziewać.

Odprowadzili. mnie wszyscy razem do schodów. W czasie tego nie mającego końca popołudnia straciłem z oczu ślepego sprzedawcę, ale teraz czekał na mnie, stojąc na drugim stopniu schodów.

- Tutaj się pożegnamy - powiedział Donny. - Zajmiesz się nim, prawda Wilbur?

Ślepiec kiwnął głową i zaczął wystukiwać laską swoją drogę w górę. Odwróciłem się, żeby im pomachać, ale już ich nie było, zniknęli w zwariowanym, papierowym lesie.

Teraz moje życie toczy się dzień po dniu tak samo. Co sobota odwiedzam Donny'ego, a on usiłuje przekonać mnie, żebym pozostał. Jest teraz starszy ode mnie i wiem, że w ciągu paru lat go stracę. Ale i tak bym go stracił, gdyby Sheila zabrała go ze sobą. Każdy z nas dokonał wyboru i moje uczucie do niego nie zmusi mnie, żebym porzucił wszystko i został myszą. Ostatecznie teraz obaj jesteśmy dorośli. Każdy z nas ma swoje życie.

Lubię swoją pracę,.. wystarczająco... i mam dużą szansę, że zajmę miejsce mojego szefa, kiedy on odejdzie na emeryturę. To będzie oznaczało zwiększoną odpowiedzialność, ale myślę, że dam sobie radę i będę to lubił.



A jeżeli kiedykolwiek przestanę... jeżeli stanie się to dla mnie zbyt trudne i będę zagubiony i bezradny jak niegdyś Donny. Wiem, tak jak i on, że istnieje wyjście. Na razie codziennie kupuję u Wilbura orzeszki. Oczywiście nie dla siebie.

przekład : Dorota Malinowska